

Philip K. Dick - Złotokóry

www.bookswarez.prv.pl

- Czy tu zawsze tak goraco? - spytał komiwojazer. Zwracał się do wszystkich osób siedzących przy barze i w wytartych łozach pod ścianą. Był mężczyzną w średnim wieku, ubranym w wymięty szary garnitur, biała koszula z plamami potu, obwisła muszka i słomkowy kapelusz. Uśmiechał się dobrodusznie.

- Tylko latem - odezwała się kelnerka. Pozostali nawet nie drgnęli. W jednej z łóz siedziała para zapatrzonych w siebie nastolatków. Dwóch robotników w koszulach z rekawami zawiniętymi na ciemnych owłosionych rękach jadło zupę fasolową zagryzając bulkami. Był tam również szczupły ogorzwały farmer, starszy biznesmen w granatowym garniturze z kamizelką i kieszonkowym zegarkiem, śniady kierowca o szczurzej twarzy, pijacy kawę, i zmęczona kobieta, która weszła, by dać wytchnienie swoim stopom i na chwilę odłożyć ciężkie tobołki. Komiwojazer wyjął paczkę papierosów. Z ciekawością rozejrzał się po obskurnym lokalu, zapalił, oparł ręce na barze i zagadnął siedzącego obok mężczyznę.

- Jak się nazywa ta miejscowość?

- Walnut Creek - mruknął sąsiad.

Przez chwilę komiwojazer pił cokolwiek małymi łykami, niedbale trzymając papierosa w pulchnych białych palcach. Wkrótce sygnalizował do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął skórzany portfel. Dłuższy czas przewracał wizytówki, dokumenty, grzbiety biletów, banknoty, poplamione kartki papieru, nie kończące się szpargały, aż wreszcie znalazł jakąś fotografię.

Na jej widok wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem chrapliwie zachichotał z cicha.

- Popatrz pan - powiedział do siedzącego obok mężczyzny.

Mężczyzna wciąż czytał gazetę.

- Ej, spójrz pan na to. - Komiwojazer tracił go lokciem i podsunął mu fotografię. - Jak się panu podoba?

Nagabnięty rzucił okiem na zdjęcie. Przedstawiało rozbraną do pasa kobietę z odwróconą twarzą. Miała jakieś trzydzieści pięć lat i obwisłe białe ciało. Z osmioma piersiami.

- Widział pan kiedy coś takiego? - Komiwojazer chichotał przewracając małymi zaczerwienionymi oczkami. Z obłesnym uśmiechem znowu tracił sąsiada.

- Już to widziałem - odparł zdeglustowany mężczyzna, podejmując przerwana lekturę.

Komiwojazer zauważył, że stary farmer pochylał się i patrzy na fotografię. Usłużnie mu ją podał.

- Podoba ci się, ojczulku? Niezłe, co?

Farmer z poważną miną oglądał zdjęcie. Odwrócił je, obejrzał wygnieciony kartonik, potem jeszcze raz spojrzął na wizerunek kobiety i odrzucił fotografię komiwojazerowi. Fotografia zeszliźnęła się z baru i spadła na podłogę emulsją do góry.

Komiwojazer podniósł ją i otrzepał, a później ostrożnie, prawie z czułością włożył na powrót do portfela. Kelnerka zatrzepotała rzesami, kiedy w przelocie zobaczyła zdjęcie.

- Sliczna, co? - zauważył komiwojazer, puszczając do niej oko. - Chyba nie powie pani, że nie? Kelnerka obojętnie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Widziałam ich mnóstwo koło Denver. Cała kolonia.

- Właśnie tam zrobiono to zdjęcie. W Denverskim Obozie AKD.

- Czy któres z nich jeszcze zyje? - spytał farmer.

Komiwojazer zasmiał się nieprzyjemnie.

- Zartuje pan czy co? - rzekł i energicznie machnął dłonią. Ani jedno.

Wszyscy nadstawili uszu. Nawet para licealistów w łozy przestała trzymać się za rece i teraz oboje siedzieli prosto, z zaciekawieniem wytrzeszczając oczy.

- Widziałem jednego takiego dewianta koło San Diego - powiedział farmer. - Któregos dnia w zeszłym roku. Miał skrzydła jak nietoperz. Pokryte skóra nie piórami. Tylko skóra i kości.

- To nic - ochoczo włączył się do rozmowy szczurooki kierowca taksówki. - W Detroit był taki z dwiema głowami. Widziałem go na wystawie.

- Żywego? - spytała kelnerka.

- Skądże. Już go uspili.

- Na socjologii - odezwał się licealista - pokazywali nam tasmy z kupa różnych takich.

Skrzydlatych z południa, wielkogłowych, znalezionych w Niemczech, i taka okropna odmiana o szyszkowatych kształtach, przypominająca owady. A...

- Najgorsi są Angielscy - stwierdził stary biznesmen. - Ukryli się w kopalniach węgla. Z grupy, która schowała się pod ziemią w czasie Wielkiej Wojny, przeżyli tylko oni.

- Niedawno odkryli nowy gatunek w Szwecji - wtraciła kelnerka. - Czytałam o nich. Podobno potrafią kierować myślami na odległość. Było ich tylko paru. AKD dotarło tam bardzo szybko.

- To odmiana gatunku nowozelandzkiego - odezwał się jeden z robotników. - Umie czytać w myślach.

- Czytanie i kierowanie to dwie różne rzeczy - powiedział biznesmen. - Kiedy słucham o czymś takim, to ogromnie się cieszę, że mamy AKD.

- Był taki gatunek, który odkryli zaraz po Wielkiej Wojnie odezwał się farmer. - Na Syberii. Umiał przenosić przedmioty na odległość. To się nazywa psychokineza. Sowieckie AKD natychmiast się nim zajęło. Nikt już go nie pamięta.

- Ja sobie przypominam - rzekł biznesmen. - Byłem wtedy małym chłopcem. Pamiętam, bo to pierwszy dewiant, o jakim słyszałem. Ojciec zawiadził mnie i moje rodzeństwo do salonu i opowiedział nam o nim. To były czasy, kiedy ci z AKD wszystkich sprawdzali i każdemu stemplowali rękę. - Pokazał swój chudy, koscisty nadgarstek. - Mnie też ostemplowano. Szesćdziesiąt lat temu.

- Teraz po prostu sprawdzają przy porodzie - powiedziała kelnerka. Zadrzała. - W tym miesiącu był jeden w San Francisco. Pierwszy od ponad roku. Myśleli, że to już się skończyło.

- Ale jest ich coraz mniej - wtracił taksówkarz. - Frisco nie było tak skazane jak niektóre miasta. Weźmy Detroit.

- W Detroit w dalszym ciągu mają dziesięć do piętnastu przypadków rocznie - wtracił licealista. - W całym mieście. Ocalało tam sporo basenów i ludzie z nich korzystają pomimo automatycznych znaków.

- A jaki był tamten? - spytał komiwojazer. - Ten z San Francisco.

Kelnerka zrobiła nieokreślony ruch ręką.

- Zwyczajny. Taki bez palców u nóg. Pochylony. Z wielkimi oczami.

- Typ nocny - stwierdził komiwojazer.

- Matka go ukryła. Podobno miał trzy lata. Namówiła lekarza, żeby wpisał fałszywe dane do formularza AKD, a lekarz był przyjacielem tej rodziny.

Komiwojazer dopił swoją kole. Machinalnie bawiąc się papierosem, siedział i słuchał gwaru rozmów, które sam sprowokował. Podniecony licealista pochylał się ku dziewczynie naprzeciwko, imponując jej posiadana wiedza. Szczupły farmer i biznesmen, niemal przytuleni

do siebie, wspominali dawne czasy, ostatnie lata Wielkiej Wojny, jeszcze przed pierwszym 10-letnim Planem Odbudowy. Taksówkarz i dwaj robotnicy na przemian opowiadali sobie niestworzone historie z własnych przeżyć.

Komiwojazer zagadnął kelnerkę.

- Ale ten przypadek z Frisco ich poruszył - odezwał się w zadumie. - I pomyślcie, że coś takiego mogło zdarzyć się tak blisko.

- Taa - mruknęła kelnerka.

- Ta strona zatoki właściwie nie była skazona - ciągnął komiwojazer. - Tutaj nigdy ich nie mieliście.

- Nie. - Kelnerka nagle się poderwała. - W tej okolicy nie było żadnego. Nigdy.

Szybko pozbięła brudne naczynia z baru i ruszyła na zaplecze.

- Nigdy? - spytał zdziwiony komiwojazer. - Nigdy nie mieliście żadnych dewiantów po tej stronie zatoki?

- Nie. Żadnych - odparła kelnerka i zniknęła na zapleczu, gdzie młody kucharz w białym fartuchu stał przy swoich palnikach. Jej głos zabrzmiał trochę za głośno, nieco zbyt ostro i nienaturalnie. Zapadła cisza. W jednej chwili umilkły wszelkie rozmowy. Wszyscy zaczęli nagle wpatrywać się w swoje talerze wzrokiem pełnym napięcia i niepokoju.

- Tu w okolicy nie było żadnego - powiedział taksówkarz głośno i wyraźnie, bez szczególnego adresu. - W ogóle nigdy.

- Zapewne - grzecznie zgodził się komiwojazer. - Ja tylko...

- Lepiej byś pan nie krecił - odezwał się jeden z robotników.

Komiwojazer zamrugał oczami.

- No pewnie, przyjacielu, oczywiście. - Nerwowo pogrzebał w kieszeni. Na podłogę z brzękiem wypadły dwie monety. Pospiesznie je pozbięła. - Nie chciałem nikogo urazić.

Na chwilę zapanowała cisza. Widząc, że po raz pierwszy nikt nic nie mówi, odezwał się licealista.

- Ja coś słyszałem - rozpoczął gorliwie bardzo ważnym tonem. - Ktoś opowiadał, że na farmie Johnsona widział coś, co przypominało jednego z tych...

- Zamknij się - warknął biznesmen nie odwracając głowy.

Chłopak zaczerwienił się i usiadł. Chciał coś powiedzieć łamiącym się głosem, lecz urwał.

Wpatrywał się w swoje ręce i nerwowo przelykał ślinę.

Komiwojazer zapłacił kelnerce za kole.

- Któredy najszybciej dojadę do Frisco? - spytał, lecz kelnerka już odwróciła się do niego tyłem.

Goście siedzący przy barze byli pochłonięci jedzeniem. Żaden z nich nawet nie podniósł wzroku.

Jedli w lodowatym milczeniu. Uporczywie wpatrywali się w talerze z nieprzyjnym, wręcz wrogim wyrazem twarzy.

Komiwojazer podniósł swoją pekatą teczkę, pchnął azurowe drzwi i wyszedł na ulicę zalaną oslepiającym światłem słońca. Ruszył w stronę rozklekotanego buicka z 1978 roku,

zaparkowanego w odległości kilku metrów. W cieniu markizy stał jakiś policjant z drogówki w granatowej koszuli, ospale rozmawiając z młodą kobietą w żółtej jedwabnej sukience, która lepiła się do jej szczupłego ciała.

Zanim komiwojazer wsiadł do samochodu, na chwilę się zatrzymał. Uniesiona reka pozdrowił policjanta.

- Proszę mi powiedzieć, dobrze zna pan to miasto?

Policjant obrzucił wzrokiem zmięty szary garnitur, muszkę, przepocona koszulę i numer rejestracyjny z innego stanu.

- A o co chodzi?

- Szukam farmy Johnsona - odparł komiwojazer. - Przyjechałem, żeby się z nim zobaczyć w sprawie pewnego procesu sądowego. - Podszedł do policjanta, trzymając w palcach białą wizytówkę. - Jestem jego adwokatem... z nowojorskiej palestry. Czy może mi pan powiedzieć, jak tam dojechać? Nie byłem tu od paru lat.

Nat Johnson spojrział na południowe słońce i stwierdził, że dobrze świeci. Z fajka w pozólkłych zebach rozsiadł się na schodkach prowadzących na werandę. Ten szpakowaty mężczyzna o silnych rekach, ubrany w czerwoną kraciastą koszulę i płócienne dzinsy, miał wciąż jeszcze geste włosy mimo szesćdziesięciu pięciu lat aktywnego życia.

Obserwował swoje grające dzieci. Ze śmiechem przebiegła koło niego Jean z rozwianymi czarnymi włosami. Pod sportową koszulką podskakiwał jej biust. Miała szesnastolatki, jasne oczy, mocne proste nogi, a jej szczupłe młode ciało było lekko pochylone do przodu pod ciężarem dwu podków. Za nią pedził czternastoletni Dave. Z takiego ładnego chłopca o białych zębach i czarnych włosach każdy ojciec byłby dumny. Dave dogonił siostrę, minal ją i zatrzymał się przy dalszym kolku. Stanął wyczekując na rozstawionych nogach, swobodnie trzymając podkowy w dłoniach wspartych na biodrach. Podbiegła do niego zadyszana Jean.

- No, rzucaj! - wykrzyknął Dave. - Ty pierwsza. Ja poczekam.

- Żeby odtrącić moje?

- Nie, żeby je przysunąć.

Jean cisnęła jedną podkawkę na ziemię, druga chwyciła obiema rękami i spojrziała na odległy kolek. Pochyliła swoje gibkie ciało, przesunęła jedną nogę do tyłu i wygięła grzbiet. Zamknęła jedno oko, dokładnie wycelowwała, a potem fachowo rzuciła podkawkę, która z brzękiem uderzyła w kolek, zakreśliła się wokół niego i upadła obok, wznosząc chmurę kurzu.

- Niezłe! - zawołał Nat Johnson ze schodków. - Choc trochę za mocno. Rób to spokojniej.

Wypiał dumnie pierś, kiedy dziewczyna, wyginając łuski zdrowe ciało, przymierzyla się i rzuciła drugą podkawkę. Z przyjemnością patrzył na dwoje silnych, ładnych dzieci, prawie dojrzałych, u progu dorosłości, zajętych grą w upalnym słońcu.

A był jeszcze Cris.

Stał z założonymi rękami pod werandą. Nie brał udziału w grze. Obserwował. Tkwił tam od chwili, gdy Jean i Dave zaczęli grać. Przez cały czas jego pięknie rzeźbiona twarz miała ten sam wyraz na polu skupienia i zadumy, jakby patrzył obok dwójki rodzeństwa gdzieś daleko za podwórko, stodołę, koryto strumienia, szereg cedrów.

- Chodź, Cris! - zawołała Jean, kiedy Dave poszedł zebrać podkowy. - Nie zagrasz z nami?

Nie, Cris nie chciał grać. Nigdy nie grał. Przebywał gdzieś. we własnym świecie, w świecie niedostępnym dla żadnego z nich. Nigdy w niczym nie brał udziału, ani w grach, ani w pracy, ani w życiu rodzinnym. Zawsze był sam. Daleki, obojętny, trzymał się na stronie. Patrzył obok ludzi i przedmiotów... dopóki ni stąd, ni zowad coś w nim nie przeskakiwało, a wówczas momentalnie się zmieniał, na krótko powracał do ich świata.

Nat wyciągnął reke i popukał fajka w schodek. Potem nabił ją tytoniem ze skórzanego kapciucha, patrząc na starszego syna. Cris teraz nabrał życia. Wyszedł na podwórko z założonymi rękami, jakby wkraczał do ich świata, opuściwszy na chwilę swój własny. Jean go nie widziała; odwrócona tyłem przygotowywała się do rzutu.

- Ej - odezwał się zdumiony Dave. - Idź Cris.

Cris podszedł do siostry, zatrzymał się i wyciągnął reke. Wysoki, pełen godności, stał spokojnie i obojętnie. Jean niepewnie podała mu podkawkę.

- To chcesz? Chciałbys zagrać? - spytała.

Cris nie odpowiedział. Wztał podkowie, lekko się pochylił, z niezwykłą gracją wyginając ciało, a potem błyskawicznie machnął ręką. Podkowa poszybowała, opadła na daleki kolek i zawirowała na nim z zawrotną szybkością. Idealny rzut.

Dave'owi opadły kąciki ust.

- Co za ohydne swinstwo - burknął.

- Cris - powiedziała Jean z wyrzutem. - Nie grasz fair.

Nie, Cris grał fair. Przez pół godziny obserwował, a później podszedł i rzucił jeden raz. Jeden doskonały rzut, jedno idealne trafienie.

- On nigdy nie robi błędów - narzekał Dave.

Cris z obojętną miną stał w południowym słońcu niczym złoty posąg. Złote włosy, złota skóra, mgielka złocistego meshku na gołych ramionach i nogach...

Raptem zeszytywniał. Nat wyprostował się zaskoczony.

- Co jest? - mruknął.

Cris szybko się odwrócił czujnym ruchem wspaniałego ciała.

- Cris! - zawołała Jean. - Co ...

Cris rzucił się przed siebie. Jak strumień uwolnionej energii przeciał podwórko, przeskoczył płot, wpadł do stodoły i wybiegł z drugiej strony. Jego uciekająca postać zdawała się ślizgać po suchej trawie, kiedy sunał w dół w stronę wyschniętego potoku, a później jego korytem i między cedrami. Jeszcze tylko krótki błysk złota i już go nie było. Zniknął. Nie dochodził stamtąd żadnych dźwięków. Nic się nie poruszało. Cris całkowicie rozplynął się w krajobrazie.

- Co to było tym razem? - spytała znudzona Jean. Podeszła do ojca i rzuciła się na ziemię w cieniu. Jej gładka szyja i górna warga błyszczały od potu; który poznał plamami wilgoci koszulki. - Coś zobaczył?

- Za czymś pobiegł - stwierdził Dave, zbliżając się do nich.

- Być może. Trudno powiedzieć - mruknął Nat.

- Lepiej powiem mamie, żeby dla niego nie nakrywała - rzekła Jean. - On chyba nie wróci.

Nata Johnsona opanował gniew i bezradność. Nie, Cris nie wróci. Nie przed obiadem i prawdopodobnie nie jutro... czy nawet pojutrze. Tylko Bóg jedyny wie, jak długo go nie będzie, dokąd poszedł i dlaczego. Oddalił się na własne życzenie i teraz przebywa gdzieś samotnie.

- Gdybym uważał, że to coś da, tobym was po niego wysłał zaczął Nat. - Ale to nie ma...

Urwał. Jakis samochód zbliżał się polną drogą, prowadzącą do farmy. Stary, rozklekotany buick, pokryty kurzem. Za kierownicą siedział korpulentny mężczyzna o czerwonej twarzy, ubrany w szary garnitur. Wesół pomachał do nich ręką, kiedy samochód z chrzestem się zatrzymał i ucichł wyłączony silnik.

- Dzień dobry - powiedział i skinął głową, wysiadając z samochodu. Figlarnie nasunął sobie kapelusz na oczy. Mężczyzna był w średnim wieku, wyglądał dobrodusznie i mocno się pocił, gdy siedział po wyschniętej ziemi w stronę werandy. - Może wy, dobrzy ludzie, mi pomożecie.

- Czego pan chce? - spytał Nat Johnson opryskliwie.

Bal się. Katem oka obserwował koryto strumienia, modląc się w duchu. Boże, niech on stamtąd **nie wychodzi**. Jean miała przyspieszony oddech, płytki i nierówny. Była przerażona.

Pozbawiona wyrazu twarz Dave'a straciła wszelką barwę.

- Kim pan jest? - zapytał Nat.

- Nazywam się Baines. George Baines. - Mężczyzna wyciągnął rękę, lecz Johnson ją zignorował.

- Być może słyszeliście o mnie. Jestem właścicielem firmy budowlanej "Pacifica". To my budujemy te małe domy odporne na bomby tuż za miastem. Te małe okrągłe, które widacie, kiedy się jedzie główną autostradą z Lafayette.

- Czego pan chce? - powtórzył Nat.

Z wysiłkiem opanował drzenie dłoni. Nigdy nie słyszał o tym człowieku, chociaż zauważył te domy. Trudno byłoby nie zauważyć takich ohydnych bunkrów, przypominających ogromne mrowisko przecięte autostradą. Baines wyglądał na ich właściciela, ale czego chce tutaj?

- Kupiłem kawałek ziemi w tej okolicy - wyjaśnił Baines. Potrząsnął plikiem szeleszczących bibulek. - Oto dokumenty, ale nie mam zielonego pojęcia, gdzie go szukać. - Uśmiechnął się dobrodusznie. - Wiem, że jest gdzieś tutaj, niedaleko, po tej stronie drogi stanowej. Urzędnik z hipoteki hrabstwa powiedział mi, że ta działka leży około mili od tamtego wzgórza, a ja nie najlepiej czytam mapy.

- To nie tu - wtracił się Dave. - Tutaj wszędzie są tylko farmy i nikt ich nie chce sprzedać.

- Alez to jest farma, synku - powiedział Baines łagodnie. Kupiłem ją dla siebie i mojej pani. Chcemy się tu przenieść. Zmarszczył zadarty nos. - Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, że chce tu budować jakieś osiedle. To wyłącznie dla mnie. Stary dom, dwadzieścia akrów ziemi, pompa i pare debów...

- Pokaż pan te dokumenty. - Johnson wyrwał plik papierów z reki Bainesa ze zdziwienia mrugającego oczami i szybko je przejrzał, a potem zwrócił z zaciętą twarzą. - O co panu chodzi? Ta umowa dotyczy działki o pięćdziesiąt mil stad.

- Pięćdziesiąt mil! - wykrzyknął oniemiały Baines. - Nie żartuje pan? Ale urzędnik powiedział mi...

Johnson wstał. Był dużo wyższy od grubasa i w najlepszej kondycji fizycznej, a przy tym piekielnie podejrzliwy.

- Do diabła z urzędnikiem. Niech pan wsiada do samochodu i zabiera się stąd. Nie wiem, czego pan szuka i po co pan tu przyjechał, ale chce, żeby pan opuścił moją ziemię.

W potężnej dłoni Johnsona coś błysnęło. W południowym słońcu złowieszczo połyskiwała metalowa rurka. Baines dostrzegł ją i gwałtownie przelknął ślinę.

- Nie chciałem nikogo urazić, proszę pana. - Cofnął się nerwowo. - Chyba jesteście przewrażliwieni. Tylko spokojnie, dobrze?

Johnson się nie odezwał. Mocniej chwycił miotacz energii i czekał, aż grubas odejdzie. Baines jednak się ociągał.

- Posłuchaj, przyjacielu. Jechałem w tym skwarze pięć godzin, szukając tej mojej cholernej działki. Czy macie coś przeciwko temu, że skorzystam z waszej... toalety?

Johnson przyjrzał mu się podejrzliwie. Podejrzliwość stopniowo przeszła w obrzydzenie. Wzruszył ramionami.

- Dave, pokaż mi, gdzie łazienka.

- Dzięki. - Baines błysnął zębami w uśmiechu wdzięczności. A jeśli nie sprawię tym zbyt wielkiego kłopotu, to prosiłbym jeszcze o szklanke wody. Z przyjemnością za nią zapłacę. - Zachichotał znacząco. - Nie ma to jak wiejska gościnność, co?

- Chryste - powiedział Johnson, odwracając się w całkowicie zmienionym nastroju, kiedy grubas ciężko potoczył się za synem do domu.

- Tato - szepnęła Jean. Gdy tylko grubas wszedł do wnętrza, natychmiast wbiegła na werandę i patrzyła z lekiem szeroko otwartymi oczami. - Tatusiu, myślisz, że on...

Johnson objął ją ramieniem.

- Trzymaj się - rzekł. - On zaraz odjedzie.

W jasnych oczach dziewczyny malowało się niewypowiedziane przerażenie.

- Za każdym razem, gdy pojawia się ten człowiek ze spółki wodnej albo poborca podatkowy, jakiś włóczęga, dziecko, **ktokolwiek**, czuje okropne ukłucie bólu... o, tu. - Chwyliła się za serce,

przyciskając reke do piersi. - I tak od trzynastu lat. Jak długo jeszcze uda nam się utrzymać to w tajemnicy? **Jak długo?**

Baines z wdziękiem wytoczył się z łazienki. Pod drzwiami sztywno stał milczący Dave Johnson z kamienną twarzą.

- Dziękuję, synu - westchnął Baines. - A teraz, gdzie mogę dostać szklankę wody? - Ze smakiem oblizwał wargi, ciesząc się zawczasu. - Kiedy człowiek się najeździ po takiej prowincji w poszukiwaniu rudery, która mu wcisnął jakiś natretny handlarz nieruchomości...

Dave ruszył do kuchni.

- Mamo, ten człowiek chce się napić wody. Tato powiedział, że może.

Dave odwrócił się tyłem. Baines zerknął na matkę, drobna siwowłosa kobieta o zwiedlejącej, ściągniętej twarzy bez wyrazu. Ze szklanka w reku szła w stronę zlewu.

Wtedy wyskoczył do przedpokoju. Przebiegł przez sypialnię, otworzył jakieś drzwi i zobaczył, że prowadzi do szafy. Popedził z powrotem, a później przez salon i jadalnię wpadł do drugiej sypialni. W krótkim czasie przeszukał cały dom.

Wyjrzał przez okno na podwórko z tyłu domu. Dostrzegł rdzewiejący wrak ciężarówki i wejście do podziemnego schronu. Jakies blaszane banki, kury rozgrzebujące ziemię. Psa spiącego pod szopa, parę starych opon samochodowych.

Znalazł drzwi prowadzące na dwór. Bezszelestnie otworzył je i wyszedł. Nie widział nikogo.

Jedynie pochylona ze starości stodole, a za nią cedry i jakiś strumień. A także szczatki tego, co niegdyś było ustępem.

Ostrożnie ruszył wzdłuż budynku. Miał może pół minuty. Drzwi do łazienki zostawił zamknięte, chłopak więc pomyślał, że do niej wróci. Baines zajrzał do wnętrza domu przez okno, za którym była spora rupieciarnia, pełna starych ubrań, pudel i stert czasopism.

Odwrócił się i ruszył z powrotem. Dotarł do narożnika domu.

Kiedy wyszedł zza rogu, wyrosła przed nim szczupła sylwetka Nata Johnsona, który zastąpił mu drogę.

- Dobra, Baines. Sam tego chciales.

Wystrzelił snop różowego światła. Oslepiający błysk przycmił słońce. Baines skoczył do tyłu i sięgnął do kieszeni marynarki. Musnięty strumieniem światła, które go oszłomiło, prawie upadł.

Ubranie ochronne pochłonęło energię i zaczęło ją rozpraszać, ale Baines zadzwonił zębami i przez chwilę podskakiwał jak marionetka na sznurku. Otoczyła go ciemność. Czuł, że siatka ubrania ochronnego rozgrzewa się do białości, zmagając się z pochłanianą energią.

Baines wyciągnął swój miotacz, a Johnson nie miał ubrania ochronnego.

- Jesteś aresztowany - groźnie mruknął Baines. - Odlóż miotacz i podnieś ręce. Zawołaj rodzinę.

- Ponaglił go ruchem broni. - No, Johnson, pośpiesz się.

- Ty zyłesz - rzekł Nat z wyrazem rosnącego przerażenia na twarzy. - A więc musisz być...

Pojawili się Dave i Jean.

- **Tato!**

- Chodźcie tu - rozkazał im Baines. - Gdzie jest wasza matka?

Dave odrzucił głowę jak sparalizowany.

- W domu - rzekł.

- Idź i przyprowadź ją tutaj.

- Ty jesteś z AKD - szepnął Nat Johnson.

Baines nie odpowiedział. Palcami przebierał po szyi, grzebiąc w fałdach miękkiego ciała.

Zabłyszczał przewód laryngofonu, gdy wyluskał go z bruzdy między podbródkami i wkładał do kieszeni. Z polnej drogi dobiegał warkot silników, który szybko stawał się coraz głośniejszy.

Podjechały dwa czarne pojazdy o opływowych liniach i zaparkowały koło domu. Zaroiło się od ciemnych, szarozielonych mundurów Okręgowej Policji Obywatelskiej. Na niebie pojawiło się mrowie czarnych kropek, chmura ohydnych much, które zacmiły słońce, kiedy wysypali się z nich żołnierze i sprzęt, wolno opadając coraz niżej.

- Tu go nie ma - powiedział Baines, gdy podszedł do niego pierwszy żołnierz. - Uciekł.

Zawiadomcie Wisdoma w laboratorium.

- Cały rejon jest otoczony.

Baines odwrócił się do Nata Johnsona, który stał oniemiały, niczego nie pojmując. Obok niego syn i córka.

- Skąd on wiedział, że tu będziemy? - spytał Baines.

- Nie wiem - mruknął Johnson. - Po prostu... wiedział.

- Telepata?

- Nie wiem.

Baines wzruszył ramionami.

- Wkrótce się dowiemy. Prowadzimy oblężenie na całym terenie. Nie może się wymknąć, choćby nawet próbował jakichś diabelskich sztuczek. Chyba że się zdematerializuje.

- Co z nim zrobicie, kiedy... jeśli go złapiecie? - spytała Jean drzącym głosem.

- Przebadamy go.

- A później zabijecie?

- To zależy od wyników badań laboratoryjnych. Gdybyście podali mi więcej szczegółów, moje przewidywania byłyby dokładniejsze.

- Nie możemy nic powiedzieć, bo niczego więcej nie wiemy, - Dziewczyna z rozpaczy zaczęła krzyczeć. - On nic nie mówi!

Baines aż podskoczył.

- **Co?**

- On nic nie mówi. Nigdy z nami nie rozmawiał. Nigdy.

- Ile ma lat?

- Osiemnaście.

- Brak komunikacji. - Baines się pocił. - W ciągu osiemnastu lat nie było między wami żadnego kontaktu językowego? Czy on w ogóle kontaktuje się w **jakikolwiek** sposób? Używa jakichś znaków? Kodu?

- On nas... ignoruje. Jada tutaj. Przebywa z nami. Czasami gra, kiedy my gramy. Albo siada koło nas. Znika na wiele dni. Nigdy nie mogliśmy ustalić, co robi... i gdzie. Sypia w stodole... sam.

- Czy rzeczywiście jest złoty?

- Tak.

- Wszystko ma złote. Skóra, oczy, włosy, paznokcie. Wszystko.

- Jest wysoki? Dobrze zbudowany?

Przez chwilę dziewczyna nie odpowiadała. Dziwne wzruszenie wygładziło jej ściągniętą twarz, na moment się rozpromieniła.

- On jest niewiarygodnie piękny. Jak bóg, który zstąpił na ziemię. - Grymas wykrzywił jej usta. -

Nie znajdziecie go. On wszystko wie. Wie to, o czym wy nie macie zielonego pojęcia. Jego zdolności tak bardzo przekraczają wasze ograniczone...

- Uważasz, że go nie złapiemy? - Baines zmarszczył brwi. Cały czas ładują nowe grupy. Jeszcze nie widziałas, jak Agencja przeprowadza takie operacje. Rozpracowujemy mutantów od szesćdziesięciu lat. Jeśli się wymknie, będzie to pierwszy...

Baines nagle urwał. Do werandy szybko zbliżyli się trzej mężczyźni. Dwaj ubrani na zielono

funkcjonariusze Policji Obywatelskiej. Trzeci, najwyższy, szedł między nimi spokojnie i spreżycie, delikatnie polyskując.

- **Cris!** - przejmująco wykrzyknęła Jean.

- Mamy go - powiedział jeden z policjantów.

Baines niecierpliwie przebierał palcami po miotaczu.

- Gdzie i jak go złapaliście?

- Sam się poddał - odparł policjant głosem pełnym podziwu. - Dobrowolnie do nas przyszedł.

Proszę spojrzeć. Wygląda jak metalowy posąg. Niczym jakiś... bóg.

Złocista postać na chwilę zatrzymała się koło Jean. Potem z wolna, spokojnie odwróciła się przodem do Bainesa.

- Cris! - przeraźliwie krzyknęła Jean. - Po coś wracał?

Ta sama myśl dreczyła również Bainesa. Odsunął ją od siebie... na razie.

- Odrzutowiec już czeka? - spytał pośpiesznie.

- Gotów do odlotu - odparł jeden z policjantów.

- Doskonale. - Baines ominął ich i szedł po schodkach na gliniasta ziemię. - Idziemy. Chcę, żeby go odstawiono bezpośrednio do laboratorium. - Przez chwilę badawczo przyglądał się potężnej postaci mężczyzny stojącego między dwoma funkcjonariuszami Policji Obywatelskiej. Przy nim sprawiali wrażenie pokurczy, jakby nagle stali się niezgrabni i odpychający. Niczym karły... Co przedtem powiedziała Jean? Jak bóg, który zstąpił na ziemię. Baines ze złością ruszył z miejsca. - Chodźcie - burknął. - Ten może być trudny. Takiego jak on jeszcze nie spotkalismy. Nie wiemy, co u licha, może zrobić.

Pomieszczenie było puste, nie licząc postaci siedzącego mężczyzny. Cztery gładkie ściany, podłoga i sufit. Silne białe światło bezlitosnie wciskało się w każdy kąt. Na jednej ze ścian pod sufitem znajdowała się wąska szczelina z okienkami, przez które obserwowano wewnątrz.

Mężczyzna był spokojny. Nie poruszył się od chwili, gdy trzasnęły zamki w drzwiach, opadły ciężkie rygle, a w okienkach ukazały się szeregi bystrych twarzy techników. Mężczyzna siedział pochylony do przodu ze splecionymi dłońmi i wzrokiem utkwionym w podłogę. Twarz miał spokojna, niemal bez wyrazu. Przez cztery godziny nie poruszył ani jednym mięśniem.

- No i co? - spytał Baines. - Dowiedzieliście się czegoś?

- Niewiele - mruknął Wisdom z goryczą. - Jeżeli w ciągu czterdziestu osmiu godzin nie uda nam się zdobyć o nim jakichś informacji, to poddamy go eutanazji. Nie możemy ryzykować.

- A, pewnie myślisz o tych z Tunisu - rzekł Baines.

On również o tym pomyślał. Znaleziono ich dziesięciu w ruinach tego opuszczonego miasta w północnej Afryce. Mieli prosty sposób na przetrwanie. Zabijali swoje ofiary i wchłaniali je, a później, upodabniając się do nich, zajmowali ich miejsce. Nazwano ich kameleonami. Zanim zlikwidowano ostatniego, sześćdziesiąt osób straciło życie. Szesćdziesięciu najwyższej klasy ekspertów, świetnie wyszkolonych pracowników Agencji Kontroli Dewiantów.

- Masz jakiś punkt zaczepienia?

- Cholera, on jest zupełnie inny. Ciężka sprawa. - Wisdom wskazał kciukiem stos rolek z taśmą. - Tu jest kompletny raport, cały materiał, jaki zebraliśmy od Johnsona i jego rodziny.

Nafaszerowaliśmy ich środkami psychotropowymi, a potem pusciliśmy do domu. Osiemnaście lat... i żadnego kontaktu językowego. Wygląda jednak na to, że on jest w pełni rozwinięty.

Osiągnął dojrzałość w wieku trzynastu lat, a więc jego cykl rozwojowy jest krótszy i szybszy od naszego. Ale skąd ta grywa? Cały ten złoty meszek? Jak pozłacany rzymski pomnik.

- Czy przyszły już wyniki z laboratorium analitycznego? Kazales, oczywiście, zarejestrować jego fale mózgową?

- Całkowicie przebadaliśmy jego mózg, ale analiza wykresów musi trochę potrwać. Wszyscy tu biegamy jak wariaci, a on tam po prostu sobie siedzi! - Wisdom puknął palcem w okienko. - Dość łatwo go złapaliśmy, więc pewnie w głowie nie ma zbyt wiele, prawda? Chciałbym jednak wiedzieć, co tam jest. Zanim poddamy go eutanazji.

- Chyba powinniśmy zachować go przy życiu, póki się nie dowiemy.

- Eutanazja za czterdzieści osiem godzin - z uporem powtórzył Wisdom. - Czy się dowiemy, czy nie. On mi się nie podoba. Na jego widok przechodzą mnie ciarki.

Ed Wisdom wstał nerwowo gryząc cygaro. Ten gruby, zwalisty mężczyzna o pełnych policzkach, beczkowatej klatce piersiowej, rudych włosach i zimnych, bystrych oczach, głęboko osadzonych w twarzy znamionującej nieustępliwość, był dyrektorem Północnoamerykańskiego Oddziału AKD. Teraz jednak miał zmartwienie. Jego małe oczka we wszystkie strony rzucały niespokojne spojrzenia, dwie migocące szare iskierki na brutalnej, okrągłej twarzy.

- Myślisz, że to **on**? - spytał Baines cedząc słowa.

- Zawsze tak myślę - warknął Wisdom. - Muszę tak myśleć.

- Chciałem powiedzieć...

- Wiem, co chciałem powiedzieć. - Wisdom chodził w te i z powrotem między stolami i technikami przy pulpitach, między aparaturą badawczą i bieżącymi komputerami, między szczelinami, w których furkotała tasma, i wiszącymi diagramami. - To stworzenie żyło osiemnastę lat z rodziną, a nawet **oni** go nie rozumieją. Nawet **oni** nie wiedzą, co w nim siedzi. Wiedzą, co robi, ale nie wiedzą jak.

- A co robi?

- Wszystko wie.

- Wszystko, to znaczy co?

Wisdom wyciągnął zza pasa swój miotacz energii i cisnął go na stół.

- Proszę.

- Co?

Wisdom dał znak i okienko uchyliło się na kilka centymetrów.

- No, proszę, zastrzel go.

Baines zamrugnął oczami.

- Powiedziałeś za czterdzieści osiem godzin.

Wisdom zaklął, chwycił miotacz, wyceLOWał przez okienko w plecy siedzącej postaci i nacisnął spust.

Różowe światło błysnęło oslepiająco. Na środku pokoju wykwitła chmurka energii. Zaiskrzyła się i znikła, pozostawiając kupkę ciemnego popiołu.

- O Boże! - wysapał Baines. - Ty....

Mężczyzna już nie siedział. Kiedy Wisdom strzelił, on błyskawicznie się zerwał i uskoczył przed strumieniem energii w kąt pokoju. Teraz powoli wracał z obojętną miną, w dalszym ciągu pogrążony w myślach.

- To już piąty raz - rzekł Wisdom, odkładając miotacz. - Poprzednio strzelałem razem z Jamisonem. Spudlowaliśmy. Tamten dokładnie wiedział, kiedy padną strzały. I gdzie trafia.

Baines i Wisdom popatrzyli na siebie. Obaj myśleli o tym samym. - Ale nawet czytając w waszych myślach, nie mógł wiedzieć, gdzie uderza wasze pociski - odezwał się Baines. - Kiedy, owszem, ale nie gdzie. Mógłbyś powiedzieć, gdzie celowałeś?

- Ja nie - odparł Wisdom zdecydowanie. - Strzelałem szybko, prawie na oslep. - Zmarszczył brwi. - **Na oslep**. Trzeba by to wypróbować. - Ruchem reki przywołał do siebie techników.

Sprowadzcie tu grupe monterska. Biegiem.

Chwycil pióro i zaczął coś rysować na kartce papieru.

Podczas montażu Baines spotkał się ze swoją sympatią w przylegającym do laboratorium klubie, który znajdował się w głównym hallu budynku AKD.

- Jak idzie? - spytała. Anita Ferris była wysoka blondynka o niebieskich oczach i dorodnej, starannie zadbanej figurze. Atrakcyjna kobieta pod trzydziestkę, wyglądająca na osobę kompetentną. Miała na sobie wykonaną z metalizowanej folii sukienkę i pelerynę, a na rękawie czerwono-czarny pasek, oznaczający pierwszą rangę. Anita była jednym z najważniejszych koordynatorów rządowych, zajmowała bowiem stanowisko dyrektora Agencji Semantyki. Masz coś ciekawego tym razem?

- Mnóstwo - odparł Baines.

Z hallu poprowadził ją do zacisznego kącika w barze, gdzie grała przytłumiona muzyka, pełna zmiennych melodii, komponowanych matematycznie. Między stolikami sprawnie poruszały się niewyraźne kształty - ciche, niezawodne automaty-kelnerki.

Kiedy Anita popijała tomę Collinsa, Baines opowiedział jej, co udało im się ustalić.

- A może on wytwarza jakieś pole odchylające? - powoli spytała Anita. - Był taki jeden gatunek, który sama myślała wyginał przedmioty, bez żadnych narzędzi. Rodzaj fizycznego oddziaływania myśli na materię.

- Psychokineza? - Baines niespokojnie bebnął palcami w blat stolika. - Wątpię. To stworzenie ma zdolność przewidywania, lecz nie oddziaływania. Ono nie może powstrzymać strumieni energii, ale z diabelską pewnością schodzi im z drogi.

- Przeskakuje pomiędzy molekułami?

Zart Anity nie ubawił Bainesa.

- Mówię serio. Zajmujemy się nimi od szesćdziesięciu lat... dłużej niż my oboje w sumie tu pracujemy. W tym czasie pojawiło się osiemdziesiąt siedem różnych typów dewiantów, prawdziwych mutantów, zdolnych do rozmnażania, a nie jakieś tam wybryki natury. Ten jest osiemdziesiąty ósmy. Z tamtymi po kolei jakos dawaliśmy sobie radę, ale ten...

- A co cię w nim tak niepokoi?

- Po pierwsze ma osiemnastę lat. Już samo to jest niewiarygodne, że jego rodzinie tak długo udawało się trzymać go w ukryciu.

- Tamte kobiety z Denver były od niego starsze. No, wiesz, te...

- Tak, ale one przebywały w państwowym obozie. Ktoś wysoko na górze ubrzdlał sobie, żeby pozwolić im na rozmnażanie. Miały być wykorzystane w przemyśle. Wtedy wstrzymaliśmy eutanazję na długie lata. Cris Johnson był jednak **poza naszą kontrolę**. Te stworzenia w Denver były pod stałym nadzorem.

- A nuz on jest nieszkodliwy. Zawsze zakładacie, że dewiant jest zagrożeniem. On może być nawet pożyteczny. Ktoś uważał, że tamte kobiety warto by zatrudnić. Być może on ma coś, co przyczyniłoby się do rozwoju gatunku.

- **Jakiego** gatunku? Z pewnością nie gatunku ludzkiego. Skonczyłoby się jak w tym starym powiedzeniu: "Operacja się udała, ale pacjent zmarł". Jeżeli do naszego rozwoju wprowadzimy mutantą, to wówczas Ziemia odziedziczy mutantki, a nie ludzie. Mutantki, którzy będą zły dla siebie. Niech ci się nawet przez chwilę nie śni, że zamknijemy ich na kłódce i każemy sobie służyć. Jeśli rzeczywiście będą stali wyżej od homo sapiens, to we współzawodnictwie z nami wygrają. Żeby przetrwać, musimy od samego początku grać znaczonymi kartami.

- Innymi słowy z tego wynika, że skoro pojawi się homo superior, to łatwo go poznamy. Będzie nim ten, którego nie uda nam się poddać eutanazji.

- Cos w tym rodzaju - odparl Baines. - Zakladajac, ze homo superior istnieje. Byc moze jest tylko homo peculiaris. Czlowiek z udoskonalonej linii.

- Neandertalczyk prawdopodobnie tez uwazal, ze czlowiek z Cro-Magnon po prostu reprezentowal udoskonalona linie. Mial tylko troche bardziej rozwinieta zdolnosc wymyslania symboli i ciut lepiej obrabial krzemien. Z twojego opisu wynika, ze to stworzenie jest czymś wiecej niz tylko zwyklym udoskonaleniem.

- To stworzenie - rzekl powoli Baines - ma umiejetnosc przewidywania. Dotychczas udalo mu sie pozostac przy zyciu. W pewnych sytuacjach radzilo sobie lepiej niz ty czy ja, gdybysmy sie w nich znalezli. Jak dlugo twoim zdaniem potrafilibysmy utrzymac sie przy zyciu w tamtym pokoju pod ogniem strumieni energii? W pewnym sensie ono ma podstawowa zdolnosc przetrwania. Jesli zawsze bedzie dokladnie...

W tym momencie odezwal sie glosnik wiszacy na scianie.

- Baines, jestes potrzebny w laboratorium. Zostaw, u licha, ten bar i wracaj na góre.

Baines odsunal krzeslo i wstal.

- Chodz ze mna. Moze cie zainteresuje to, co uroil sobie Wisdom.

Zbity tlumek najwyzszych funkcjonariuszy AKD, siwowlosych mezczyzn w srednim wieku, stal kolem i sluchal chudego mlodzienca w bialej koszuli z zawinietych rekawami, który objasnial funkcjonowanie skomplikowanej szesciennej konstrukcji z metalu i plastyku, ustawionej na srodku podestu. Groznie sterczaly z niej dysze miotaczy energii tkwiacych w gmatwaninie kabli.

- To pierwsza próba tego urzadzenia w praktyce - mowil mlodzieniec z werwa. - Strzela ono na chybil trafil w najwyzszym stopniu przypadkowo... przynajmniej w takim, jaki bylismy w stanie osiagnac. Znajdujace sie wewnatrz ciezkie kule sa unoszone w góre za pomoca strumienia powietrza, a nastepnie swobodnie opadaja, włączajac przekazniki. Kule te moga opadac niemal w dowolnym ukladzie. Urzadzenie strzela wedlug ich ukladu, który za kazdym razem jest inny, dajac zmienne konfiguracje strzalów w czasie i przestrzeni. W sumie jest dziesiec miotaczy i kazdy bedzie w nieustannym ruchu.

- I **nikt** nie wie, jak beda strzelaly? - spytala Anita.

- Nikt. - Wisdom zacieral swoje tluste rece. - Nie pomoze mu czytanie w myslach. Nie z tym. Anita podeszla do okienek obserwacyjnych, kiedy urzadzenie przetaczano na stanowisko.

Zatkalo ja.

- To on?

- Co ci jest?

Policzki Anity oblal rumieniec.

- Alez ja spodziewalam sie jakiegos... **stworzenia**. Mój Boze, jaki on piekny! Jak zloty posag. Jak bóstwo!

Baines rozesmial sie.

- On ma osiemnascie lat, Anito. Za mlody dla ciebie.

Kobieta w dalszym ciagu patrzyla przez okienko obserwacyjne.

- Przyjrzyj mu sie. Osiemnascie lat? Nie wierze.

Cris Johnson siedzial na podlodze w samym srodku pomieszczenia w kontemplacyjnej pozie z pochylona glowa, zalozonymi rekami, podwinawszy nogi pod siebie. W silnym swietle wiszacych nad nim lamp jego mocne ciało lsnilo, jakby pokrywal je mieniacy sie zloty puch.

- Sliczny, prawda? - mruknal Wisdom. - No dobra. Włączajcie.

- Chcecie go **zabic**? - spytala Anita.

- Bedziemy próbowali.

- Ale on jest... - urwala niepewnie. - On nie jest potworem. Nie wyglada jak tamte odrazajace

stworzenia z dwiema głowami czy podobne do owadów. Albo jak te okropienstwa z Tunisu.

- Wiec czym on jest? - odezwał się Baines.

- Nie wiem. Ale nie możecie o tak, po prostu, **go zabic**. To byłoby straszne.

Urządzenie ożyło z cichym trzaskiem. Lufy drgnęły i bezszelestnie zmieniły pozycje. Trzy z nich cofnęły się, znikając wewnątrz szescianu. Pozostałe wysunęły się do przodu, szybko i sprawnie ustawiły się pod odpowiednim kątem i nagle bez uprzedzenia otworzyły ogień.

Pociski energii posypały się zygzakowatym wachlarzem w skomplikowanym, coraz to innym układzie, pod różnymi katami, ze zmienną prędkością, aż zwały się w jedną oszalamiającą nawalę, która objęła całe pomieszczenie.

Złocisty człowiek zerwał się i zaczął skakać w tę i w ową stronę, zrezygnując unikając wybuchów energii, które ze wszystkich stron osmalaly mu ciało. Zaczęły go przysłaniać tumany popiołu, aż w końcu utworzyły jedną wielką chmurę pełną błysków eksplozji.

- Przestaniecie! - wykrzyknęła Anita. - Na miłość boską, zabijcie go!

W pomieszczeniu panowało piekło. Postać mężczyzny zupełnie zniknęła. Wisdom odczekał chwilę, a potem skinął głową technikom obsługującym urządzenie. Technicy nacisnęli jakies guziki i lufy zaczęły poruszać się coraz wolniej, aż wreszcie znieruchomiały. Kilka z nich cofnęło się do wnętrza szescianu. Wszystkie przestały strzelać. Ucichło brzęczenie mechanizmu. Cris Johnson jednak nie zginął. Wylonil się z opadających obłoków popiołu poczerńały i osmalony, lecz bez szwanku. Uniknal wszystkich strumieni energii, wijac się między nimi jak tancerz przeskakujacy nad ostrzami różowych ognistych mieczy. Przeżył.

- Nie - odezwał się Wisdom, wstrzasniety i ponury. - To nie telepatia. Układ strzałów był przypadkowy, a nie ustalony zawczasu.

Wszyscy troje stali oszolomieni, spoglądając na siebie z lekiem. Anita z pobladła twarzą drżała. Jej niebieskie oczy były szeroko otwarte.

- Wiec co? - spytała szeptem. - Co to może być? Co on ma?

- Umiejętność bezblednego zgadywania - podsunął Wisdom.

- Nie, on nie zgadywał. Nie szukaj się - odezwał się Baines. - I w tym cały szkopuł.

- Nie, on nie zgadywał. - Wisdom powoli kiwał głową. - **On wiedział**. Przewidział każdy strzał. Ciekaw jestem... czy **może** się mylic? Czy **może** popełnić błąd?

- Przecież go złapaliśmy - podkreślił Baines.

- Sam powiedziałeś, że wrócił dobrowolnie. - Wisdom miał dziwny wyraz twarzy. - Czy on to zrobił **po** rozpoczęciu oblawy?

Baines podskoczył.

- Tak, po.

- Wiec nie mógł się z niej wydostać i wrócić. - Wisdom wykrzywił twarz w uśmiechu. - Oblawa musiała być szczelna. Należało się tego spodziewać.

- Gdyby była w niej choć jedna dziura - mruknął Baines - to on wiedziałby o tym... i wówczas by zwił.

Wisdom przywołał grupę uzbrojonych strażników.

- Zaprowadźcie go do uspienia.

Anita krzyknęła przeraźliwie.

- Wisdom, ty nie możesz...

- On za bardzo nas wyprzedza. Nie potrafimy z nim rywalizować. - Wisdom patrzył posepnym wzrokiem. - My możemy jedynie przypuszczać, co się stanie. **On wie**. Dla niego to pewność.

Chociaż nie wydaje mi się, żeby mu to pomogło przy eutanazji. Całe pomieszczenie, w którym przeprowadza się ten zabieg, momentalnie wypełnia gaz o natychmiastowym działaniu. -

Niecierpliwie dal znak straznikom. - Ruszajcie. Zabrac go w tej chwili. Pospieszcie sie.

- Poradzimy sobie? - spytal zamyslony Baines.

Straznicy zajeli pozycje pod zdalnie sterowanymi drzwiami, które z wolna sie otworzyly. Dwóch pierwszych ostroznie weszlo do srodka z miotaczami gotowymi do strzalu.

Cris stal w srodku pomieszczenia tyłem do skradajacych sie strazników. Przez chwile byl spokojny i nawet nie drgnal. Straznicy utworzyli półkole, kiedy wiecej ich weszlo do wnetrza. Wtem...

Anita krzyknela. Wisdom zaklal. Zlocisty czlowiek odwrócił sie, błyskawicznie skoczyl ku drzwiom przez potrójny szereg strazników i wypadl na korytarz.

- Lapac go! - wykrzyknal Baines.

Zakotlowalo sie od strazników. Uciekinier pedzil na górę korytarzem rozswietlanym błyskami energii.

- To na nic - spokojnie powiedzial Wisdom. - On sie nie da trafic. - Nacisnal jakis guzik, a potem drugi. - Ale moze to nam cos da.

- Co... - zaczal Baines, lecz urwal.

Nagle zobaczyl przed soba skaczaca postac, która sunela wprost na niego, a kiedy upadl na bok, błyskawicznie go minela. Zlocisty czlowiek biegl bez wysilku z pozbawiona wyrazu twarzy, robiac uniki przed strumieniami energii, która wybuchala wokół niego.

Baines przez chwile widzial te twarz z bliska, zanim Cris zniknal w bocznym korytarzu.

Popedzili za nim straznicy, strzelajac i podnieconym glosem wykrzykujac rozkazy. W podziemiach budynku turkotaly ciezkie miotacze. Systematycznie zamykaly sie drzwi w korytarzach, odcinajac droge uciezki.

- O Boze - westchnal Baines podnoszac sie. - Czy on nie moze robic nic innego, jak tylko uciekac?

- Wydalem rozkaz, zeby odizolowac budynek - powiedzial Wisdom. - Nie ucieknie. Nikt nie wyjdzie ani nie wejdzie. W budynku moze sobie pobiegac... ale na zewnatrz sie nie wydostanie.

- Jezeli jakies wyjście przeoczono, to on bedzie o tym wiedzial odezwała sie Anita drzacym glosem.

- Zadnego wyjścia nie przeoczymy. Juz raz go złapalismy i znowu złapiemy.

Wszedl robot-poslaniec. Z szacunkiem wreczyl Wisdomowi jakas koperte.

- Z pracowni analitycznej, panie dyrektorze.

Wisdom rozerwal koperte i wyjal papierowa tasme.

- Zaraz sie dowiemy, jak on mysli. - Rece mu drzaly. - Moze znajdziemy jego slaby punkt.

Umyslowo moze byc od nas sprawniejszy, lecz to nie znaczy, ze nie ma slabych punktów. Umie jedynie przewidziec przyszlosc, ale nie potrafi jej zmienic. Jezeli czeka go smierc, to ta zdolnosc mu nie...

Glos uwiazl Wisdomowi w gardle. Podal tasme Bainesowi.

- Ide do baru. Musze sie nacic - rzekl z poszarzala twarza. - Moge powiedziec tylko jedno: **mam nadzieje, ze to nie ten gatunek przyjdzie po nas.**

- Co mówi analiza? - niecierpliwila sie Anita, zagladajac Bainesowi przez ramie. - Jak on mysli?

- On nie mysli - odparl Baines i oddal tasme swojemu szefowi. - W ogóle nie mysli. Calkowity brak czolowego plata. To nie jest istota ludzka... nie uzywa symboli. To tylko zwierz.

- Zwierze z jedna wysoce rozwinieta zdolnoscia - rzekl Wisdom. - Nie zaden homo superior. W ogóle nie czlowiek.

Po korytarzach budynku AKD we wszystkie strony przewalali sie straznicy ze sprzetem. Do budynku naplywaly oddzialy Policji Obywatelskiej, zajmujac pozycje obok strazników. Kolejno

przeszukiwano korytarze i pokoje, a potem je zamykano. Wcześniej czy później Cris Johnson zostanie zlokalizowany i zapedzony w kozi róg.

- Zawsze się obawialiśmy, że pojawi się jakiś mutant na wyższym poziomie rozwoju umysłowego - rzekł zamysłony Baines. Jakiś dewiant, który dla nas będzie tym, czym my jesteśmy dla małp. Z dużą, pekatą czaszka, zdolnościami telepatycznymi, dysponujący doskonałym systemem semantycznym i najwyższymi umiejętnościami abstrakcyjnego myślenia i przewidywania. Jakaś wyższa forma naszego rozwoju. Doskonalsza istota ludzka.

- Kieruje się odruchami - powiedziała Anita z niedowierzaniem. Siedząc przy biurku z analizą w ręku, uważnie ją studiowała. Odruchami... jak lew. Żółty lew. - Odłożyła taśmę z dziwnym wyrazem twarzy. - Bóstwo pod postacią lwa.

- Zwierze - opryskliwie poprawił ją Wisdom. - Chciałabym powiedzieć: jasnowłose zwierze.

- Szybko biega i to wszystko - dodał Baines. - Nie używa narzędzi. Nie umie niczego zbudować ani wykorzystać. Po prostu stoi i czeka na stosowną okazję, a potem piekielnie szybko ucieka.

- To gorsze, niż mogliśmy się spodziewać - stwierdził Wisdom. Jego pełna twarz była szara jak popiół. Zgarbił się niczym starzec i niepewnie poruszał drzacymi rękami. - Być wypartym przez zwierze! Przez coś takiego, co ucieka i się chowa. Co nie używa żadnego języka! - Splunął ze złości. - To dlatego oni nie mogli się z nim porozumieć. Zastanawialiśmy się, jaki on ma system semantyczny. A on nie ma żadnego! Jest w stanie mówić i myśleć nie bardziej niż... pies.

- A więc inteligencja jest w zaniku - powiedział Baines matowym głosem. - Jesteśmy ostatnim ogniwem... jak dinozaury. Doprowadziliśmy inteligencję do jej kresu. Może za daleko. Znaleźliśmy się w punkcie, w którym wiemy tak wiele... potrafimy świetnie myśleć... ale nie umiemy działać.

- Jesteśmy ludźmi myśli, a nie ludźmi czynu - rzekła Anita - co zaczęło nas paraliżować. To stworzenie zas...

- Zdolność tego stworzenia funkcjonuje lepiej, niż kiedykolwiek funkcjonowały nasze zdolności. My możemy sobie przypomnieć nasze przeszłe doświadczenia, pamiętać je i czerpać z nich naukę. Jeśli idzie o przyszłość, to w najlepszym wypadku możemy snuć jedynie mgliste przypuszczenia na podstawie tego, co wydarzyło się w przeszłości. Musimy mówić o prawdopodobieństwach, które są szare, a nie czarno-białe. My tylko zgadujemy.

- Cris Johnson nie zgaduje - wtraciła Anita.

- On patrzy przed siebie. Widzi, co nadejdzie. On... myśli do przodu. Trudno to inaczej nazwać. On widzi przyszłość. Prawdopodobnie nie odbiera jej jako przyszłość.

- Nie, nie odbiera - powiedziała Anita w zamysleniu. - Wydaje mu się terażniejszość. On ma rozszerzoną terażniejszość, lecz ta terażniejszość leży przed nim, nie za nim. Nasza terażniejszość wiąże się z przeszłością. Dla nas jedynie przeszłość jest rzeczą pewną, dla niego zaś przyszłość. I prawdopodobnie nie pamięta przeszłości, w każdym razie nie lepiej niż jakiegokolwiek zwierze.

- Kiedy tacy jak on się rozwijają, w miarę ewolucji tego gatunku - rzekł Baines - przypuszczalnie udoskonala tę zdolność myślenia do przodu. Zamiast dziesięciu minut pół godziny. Potem godzinę, dzień, rok. Wreszcie będą mogli widzieć całe życie. Życie w stałym, niezmiennym świecie bez niepewności i dylematów. Bez ruchu! Niczego nie będą się bali. Ten ich świat będzie idealnie statyczny jak masywny blok materii.

- A kiedy nadejdzie śmierć - dodała Anita - to ją zaakceptują. Nie będą próbowali z nią walczyć. Dla nich okaże się czymś, co już się wydarzyło.

- **Co już się wydarzyło** - powtórzył Baines. - Dla Crisa **nasze strzały też już się wydarzyły**. - Zasmiał się nieprzyjemnie. - Istota o większych zdolnościach przetrwania wcale nie musi być

doskonalszym człowiekiem. Gdyby doszło do nowego potopu, przetrwałyby tylko ryby, a w wypadku ery lodowcowej, być może jedynie białe niedzwiedzie. Zanim otworzyliśmy drzwi, on już widział tych żołnierzy, doskonale wiedział, gdzie staną i co zrobią. Przydatna zdolność, która jednak nie oznacza postępu w rozwoju umysłowym. Czysto fizyczny **zmysł**.

- Ale jeśli wszystkie wyjścia są obstawione - powtórzył Wisdom - to on zobaczy, że nie może się wydostać. Przedtem sam się poddał i podda się jeszcze raz. - Pokreślił głową. - To zwierze. Bez języka. Bez narzędzi.

- Mając ten nowy zmysł, niczego więcej nie potrzebuje - rzekł Baines i spojrzał na zegarek. - Już po drugiej. Czy budynek jest całkowicie odizolowany?

- Nie możesz wyjść - oświadczył Wisdom. - Musisz zostać tu na całą noc... albo przynajmniej dopóki nie złapiemy tego drania.

- Myślałem o niej. - Baines wskazał na Anitę. - Powinna być w swojej agencji przed siódmą rano.

Wisdom wzruszył ramionami.

- Nie mam nad nią żadnej władzy. Jeśli chce, to może się odmeldować.

- Zostane - zdecydowała Anita. - Chce tu być, kiedy... kiedy beda go zabijac. Tutaj sie przespie. - Zawahała się. - Wisdom, czy nie ma innego rozwiązania? Jeśli on jest po prostu zwierzęciem, to nie moglibyśmy...

- Co, zoo? - Wisdom histerycznie podniósł głos. - Mamy zamknąć go w zoo? Chryste, nie! On musi zginąć!

Ciemny kształt na dłuższy czas przycupnął w ciemności. Znajdował się w magazynie. Ze wszystkich stron otaczały go skrzynie i kartony ułożone w równe rzędy, starannie przeliczone i poznaczane. Panowała cisza i poza nim nie było nikogo.

Lecz za chwilę wpadła tu żołnierze i przeszukają magazyn. Widział ich. Widział ich w całym pomieszczeniu, jasno i wyraźnie - żołnierze o zawziętych twarzach, którzy skradali się z miotaczami w rękach, rzucając spojrzenia pełne chęci mordy.

Widok ten był jednym z wielu. Jedną z mnóstwa plastycznych scen, przylegających do innych, w których złośliwy człowiek sam występował. Za każdą z nich tłoczyły się nieprzebrane, zachodzące na siebie dalsze sceny; coraz bardziej zamazane, w końcu znikwały w stopniowo gestniejącej mgłę, w której kolejne grupy stawały się mniej wyraźne.

Ale najbliższa scena, która miał tuż przed sobą, widział dobrze. Z łatwością dostrzegł uzbrojonych żołnierzy. Trzeba zatem stąd wyjść, zanim się pojawią.

Złośliwy człowiek cicho wstał i podszedł do drzwi. W korytarzu nie było nikogo, lecz widział już siebie dalej w pustym, szumiącym pomieszczeniu z metalu, oświetlonym ukrytymi lampami.

Smiało pchnął drzwi i wyszedł z magazynu.

W końcu korytarza jasniała winda. Podszedł do niej i wsiadł. Za pięć minut nadbiegnie grupa strażników i wskoczy do niej. W tym czasie on już zdąży wysiąść i odesłać windę w dół. Teraz nacisnął guzik i pojechał piętro wyżej.

Wysiadł i znalazł się w pustym korytarzu. Nie widział nikogo, lecz to nie było dla niego niespodzianką. Nic nie mogło go zaskoczyć. Element zaskoczenia dla niego nie istniał. Pozytywnie przedmiotów, układ przestrzenny całej materii w najbliższej przyszłości znalazł tak dobrze jak własne ciało. Nie znalazł jedynie tego, co już minęło. Czasami zastanawiał się mglisto, co się z tym wszystkim stało.

Dotarł do niewielkiego podziemnego magazynu, który właśnie przeszukano. Upłynie pół godziny, nim ktokolwiek znów tu zajrzy. Miał więc do dyspozycji pół godziny, na tyle bowiem siegał wzrokiem w przeszłość. A potem...

Potem zobaczy dalsze, kolejne obszary przyszłości, a później następne. Był w ciągłym ruchu, wchodził w nowe rejony, których nigdy przedtem nie widział. Nieustannie rozwijała się przed nim panorama widoków, scen, zastygłych krajobrazów. Wszystkie postacie i przedmioty tkwiły nieruchomo jak figury na ogromnej szachownicy, po której z założonymi rekami i spokojną twarzą sunał on - bezstronny obserwator, równie dobrze widzący wszystko w oddali, jak i pod nogami.

Teraz kiedy siedział skulony w niewielkim podrecznym magazynie, miał przed oczami mnóstwo najrozmaitszych scen, przedstawiających najbliższe pół godziny. Wiele go czekało. Owe pół godziny obejmowało niewiarygodnie skomplikowane połączenie oddzielnych konfiguracji.

Dotarł do krytycznego rejonu, zaraz ruszył przez złożone, niezwykle pogmatwane światy.

Skupił uwagę na scenie za dziesięć minut. Niczym trójwymiarowe zdjęcie przedstawiała ciężki miotacz, przeciągany w drugi koniec korytarza. Żołnierze ostrożnie przechodzili od jednych drzwi do następnych, ponownie sprawdzając każdy pokój, co robili już wielokrotnie. Pod koniec półgodziny dotarli do podrecznego magazynu. Widział, jak zaglądają do środka. Oczywiście w tym czasie jego już tam nie będzie. Nie występował w tej scenie, przeszedł do innej.

Następna scena przedstawiała bramę zamkniętą zwartym szeregiem strażników. Nie ma wyjścia. Był w tej scenie. Ukrył się w niszy w ścianie bramy. Widział ulice, gwiazdy, światła, sylwetki przejeżdżających samochodów i ludzi.

Na kolejnym obrazie wycofywał się z bramy. W żaden sposób nie mógłby się wydostać.

Następnie zobaczył siebie przy innych wyjściach, cały zastęp powielonych złośliwych postaci, kiedy kolejno badał coraz dalsze rejony. Każde wyjście było jednak obstawione.

W jednej niewyraźnej scenie zobaczył siebie, jak leży osmalony i martwy; wcześniej próbował sforsować kordon, by uciec.

Lecz scena ta była zamazana. Jedno migniecie zamglonej stop-klatki wśród wielu innych. Prosta droga, która się poruszał, nie zboczy w tę stronę. Zaprowadzi go gdzie indziej. Złośliwa postać w nowej scenie, mała lalka w pokoju, tylko trochę go przypominała. To on, ale jakis daleki, jakiego nigdy nie spotka. Zapomniał o tym i przeszedł do następnego obrazu.

Tysiące otaczających go scen tworzyły zawiłą układankę, której elementy teraz kolejno analizował. Patrzył z góry na dom lalek o nieskonczonej liczbie pokojów, z których każdy miał własne meble i lalki, sztywne i nieruchome. Te same lalki i meble powtarzały się w wielu scenach. Nierzadko sam się w nich pojawiał. Ci dwaj mężczyźni na antresoli. Ta kobieta. Ciągłe ukazywały się te same kombinacje; przedstawienie często się powtarzało - ci sami aktorzy z tymi samymi rekwizytami koczyli wokół niego na wszelkie możliwe sposoby.

Nim nadszedł czas wyjścia z podrecznego magazynu, Cris Johnson sprawdził w myślach wszystkie sąsiednie pomieszczenia. Po kolei dokładnie je obejrzał wraz z tym, co się w nich znajdowało.

Pchnął drzwi i cicho wyszedł do hallu. Dokładnie wiedział, dokąd idzie i co ma zrobić. Skulony w dusznym magazynie, spokojnie i starannie przyjrzał się każdej miniaturze siebie, konfiguracji wyraźnych scen na jego wytknietej drodze do tego pokoju w domu lalek, jedyne go pokoju spośród tysięcy innych, do którego zmierzał.

Anita zdjęła z siebie sukienkę z metalowej folii, powiesiła ją w szafie, zsunęła pantofle i kopnęła je pod łóżko. Już zaczynała rozpinąć biustonosz, kiedy nagle otworzyły się drzwi.

Zatkalo ją. Złośliwy człowiek cicho zamykał za sobą drzwi na zasuwkę.

Anita drżąc ręką chwyciła leżący na toalecie miotacz energii. Cała się trzęsła.

- Czego chcesz? - spytała. Jej palce konwulsyjnie zaciskały się na miotaczu. - Zabije cie.

Cris Johnson z założonymi rekami patrzył na nią w milczeniu. Po raz pierwszy widziała go tak

blisko. Miał wspaniałą, pełną godności twarz, przystojną i niewzruszoną, grzywe złotych włosów, złota skórę pokrytą polyskliwym meszkiem...

- No wiec! - wykrztusiła. Serce jej walilo jak oszalale. - Czego chcesz?

Z łatwością mogła go zabić, lecz miotacz zachwiał się w jej reku. Cris Johnson stał bez obawy; wcale się nie bał. Dlaczego? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, co ona trzyma w reku i czym to mu grozi?

- No jasne - powiedziała nagle zduszonym szeptem. - Ty przecież widzisz przyszłość. Wiesz, że cie nie zabije. Inaczej byś tu nie przyszedł.

Zaczerwieniła się przerażona i... zmieszana. On dokładnie wiedział, co ona robi. Widział to tak dobrze, jak ona widziała ściany pokoju, łóżko ze starannie złożoną narzutą, powieszona w szafie ubranie, torebkę i drobniaki na toaletce.

- No dobrze. - Anita cofnęła się, a potem nagle odłożyła miotacz na toaletkę. - Nie zabije cie.

Niby dlaczego miałabym to zrobić? - Pogrzebala w torebce, wyjęła papierosa i zapaliła jednego drzaca reka. Miała przyspieszony puls. Bała się, lecz równocześnie czuła dziwne podniecenie. - Spodziewasz się, że tu zostaniesz? To ci nic nie da. Oni już dwa razy sprawdzali te sypialnie i z pewnością jeszcze tu wróca.

Czy ja rozumiał? Na jego pełnej godności twarzy nie zauważyła żadnej reakcji. Boże, jaki on wielki. To niemożliwe, żeby miał zaledwie osiemnaste lat, że to jeszcze chłopiec, dziecko.

Wyglądał raczej jak wspaniały złoty bóg, który zstąpił na ziemię.

Gwałtownie odrzuciła od siebie te myśli. Nie był bogiem. To tylko zwierze. **Jasnowłose zwierze**, które przyszło zająć miejsce człowieka i wyprzec go z Ziemi.

Anita chwyciła miotacz.

- Wynos się! Jesteś zwierzęciem! Wielkim głupim zwierzęciem! Nawet nie rozumiesz, co do ciebie mówię... nawet nie używasz żadnego języka. Nie jesteś człowiekiem.

Cris Johnson wciąż milczał. Jakby czekał. Na co? Nie okazywał strachu czy niecierpliwości, chociaż z korytarza dobiegały odgłosy poszukiwań. Słychać było uderzenia metalu o metal, przeciąganie ciężkich miotaczy energii, okrzyki i przytłumione dudnienie, kiedy systematycznie przetrzasano cały budynek.

- Znajdź cie - powiedziała Anita. - Złap cie tutaj. Lada chwila będą sprawdzać to skrzydło. - Z pasją zdużyła papierosa. - Na miłość boską, czego ty ode mnie oczekujesz?

Cris podszedł do niej. Anita się cofnęła. Chwycił ją silnymi rękami. Nagle przerażenie przyspieszyło jej oddech. Przez chwilę walczyła zjadle, rozpaczliwie.

- Pusc!

Wyrwała się i odskoczyła od niego. Twarz Crisa była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Spokojnie podszedł do Anity jak obojętny bóg, który zbliża się, by ją posiąść.

- Wynos się!

Anita po omacku chwyciła miotacz i chciała go podnieść, ale wyslizzał jej się z palców i stoczył na podłogę.

Cris schylił się i podniósł go. Wyciągnął rękę i na otwartej dłoni podał miotacz Anicie.

- Mój Boże - szepnęła.

Drżąc przyjęła miotacz, z wahaniem zacisnęła na nim rękę, a później z powrotem położyła na toaletce.

W półmroku pokoju sylwetka wielkiej złoceistej postaci zdawała się jarzyć migotliwym blaskiem na tle cienia. Bóg... nie, nie bóg. Zwierze. Duże złote zwierze, pozbawione duszy. Anita czuła się zdezorientowana. Czym on jest... może i jednym, i drugim? Niepewnie pokręciła głową. Zrobiło się późno, już prawie czwarta. Anita była oszłamiona i wyczerpana.

Cris wziął ją w ramiona. Lagodnym ruchem uniósł delikatnie jej podbródek i pocałował ją, mocno sciskając silnymi rękami. Brakowało jej tchu. Ogarniał ją mrok mieszający się z migotliwą złotą mgiełką, która coraz szybciej i szybciej wirowała spiralnie wokół niej, porywając ze sobą jej zmysły. Anita zapadała się w nią z przyjemnością. Ów zlocisty mrok zalał ją falą wzbierających uczuć, które z każdą chwilą się wzmagaly, aż wreszcie wszystko się w nich roztopiło.

Anita zamrugala oczami. Usiadła i machinalnie poprawiła sobie włosy. Cris stał przy szafie. Siegnął do niej i zdjął coś z wieszaka.

Odwróciwszy się rzucił to na łóżko. Była to ciężka podróżna peleryna Anity, wykonana z metalowej folii.

Anita spojrzała na pelerynę, niczego nie rozumiejąc.

- O co ci chodzi?

Cris stał przy łóżku. Czekal.

Anita niepewnie podniosła pelerynę. Poczula zimne ciarki strachu.

- Chcesz, żebym cię stąd wyprowadziła, omijając strażników i policjantów - powiedziała cicho.

Cris milczał.

- Natychmiast cię zabija. - Chwiejnie wstała. - Nie przebiegniesz przez kordon, Mój Boże, czy ty nie umiesz robić niczego poza bieganiem? Musi być jakiś lepszy sposób. Może uda mi się przekonać Władzę. Mam pierwszą rangę... rangę dyrektora. Mogę zwrócić się bezpośrednio do najwyższego kierownictwa. Chyba zdołam ich namówić, by wstrzymali eutanazję na czas nieokreślony. Mamy jedną szansę na miliard, jeżeli będziemy próbowali się przedrzeć...

Urwała.

- Ale ty nie ryzykujesz - mówiła dalej powoli. - Ty przecież nie liczysz na przypadek. **Ty wiesz**, co nadejdzie. Już widziałeś wszystkie karty. - Uwaga! - Uważnie mu się przyjrzała. - Ciebie nie można oszukać. Byłoby to niemożliwe.

Przez chwilę stała głęboko zamysłona. Potem szybkim, zdecydowanym ruchem chwyciła pelerynę, narzuciła ją sobie na gołe ramiona, zapięła ciężki pas, pochyliła się wyciągając pantofle spod łóżka, złapała torebkę i pośpieszyła do drzwi.

- Chodź - powiedziała. Oddychała szybko, policzki jej pałały. - Idziemy, póki jeszcze możemy się stąd wydostać. Mój samochód stoi na parkingu obok budynku. Za godzinę będziemy u mnie. Mam letni dom w Argentynie. W najgorszym wypadku możemy tam polecieć. Dom leży w głębi kraju, daleko od miasta. W dżungli na mokradłach. Prawie zupełnie odcięty od świata. Niecierpliwie zaczęła otwierać drzwi. Cris powstrzymał ją wyciągniętą ręką. Delikatnie i spokojnie wsunął się przed Anitę.

Niewzruszenie odczekał dłuższy czas. Potem przekreślił galkę i śmiało wyszedł z pokoju.

W pustym korytarzu nie było widac nikogo. W jego końcu Anicie mignęły tylko plecy znikającego strażnika. Gdyby wyszli chwilę wcześniej...

Cris zerwał się do biegu. Anita ruszyła za nim. Sunał szybko, bez wysiłku. Dziewczyna z trudem dotrzymywała mu kroku. Zdawał się dokładnie znać drogę. Skreślił w prawo, potem przez sieni do przejścia służbowego. Wskoczyli do windy towarowej, która pojechali w górę. Winda nagle się zatrzymała.

Cris znowu czekał. Wkrótce odsunął drzwi i wyszedł, a za nim Anita pełna niepokoju. Z niewielkiej odległości dochodziły ją bowiem dźwięki wydawane przez uzbrojonych ludzi. Znajdowali się blisko wyjścia. Bezpośrednio przed sobą mieli podwójny kordon strażników. Dwudziestu ludzi tworzyło zwartą ścianę, przed którą w środku stał potężny, ciężki robot-miotacz. Na ściąganych twarzach strażników malowało się napięcie. Byli w pogotowiu. Patrzyli

szeroko otwartymi oczami, mocno sciskając broń. Dowodził nimi oficer policji obywatelskiej.
- Nigdy nie przejdziemy - wykrztusiła Anita. - Nie zrobimy nawet pięciu kroków. - Cofnęła się. - Oni...

Cris chwycił ją za rękę i spokojnie szedł dalej. Anita opanował gwałtowny strach. Próbowła się wyrwać, lecz palce Crisa trzymały jej rękę w stalowym uścisku. Nie mogła ich rozewrzeć. Wielkie złociste stworzenie spokojnie, lecz zdecydowanie ciągnęło ją obok siebie w stronę podwójnego kordonu strażników.

- **O, jest!** - Uniosły się miotacze. Żołnierze ruszyli do akcji. Lufa robota zaczęła się obracać. -

Brac go!

Anita jakby sparalizowała. Bezradnie zwisała u boku Crisa, który ani na moment nie rozluźniał chwytu. Najezony lufami miotaczy kordon strażników był coraz bliżej. Anita próbowała opanować przerażenie. Potknęła się, niemal przewróciła. Cris podtrzymał ją bez wysiłku. Zaczęła go drapać, walczyła z nim, starała się wyrwać...

- Nie strzelac! - krzyknęła.

- Co to za kobieta? - Strażnicy mierzyli w Crisa, lecz obawiali się, że trafią w Anita. Kogo on trzyma?

Jeden z nich dostrzegł pasek na jej rękawie. Czerwono-czarny. Ranga dyrektora. Najwyższa.

- Ona ma pierwszą rangę. - Zaskoczeni strażnicy odstepili. - Proszę pani, niech pani się odsunie! Anita odzyskała głos.

- Nie strzelac. On jest... pod moją opieką. Rozumiecie? Ja go wyprowadzam.

Ściana strażników nerwowo się cofnęła.

- Nikomu nie wolno wychodzić. Dyrektor Wisdom wydał rozkaz...

- Nie podlegam władzy dyrektora Wisdom. - Anicie udało się nadać swojemu głosowi ostry ton.

- Z drogi. Zabieram go do Agencji Semantyki.

Przez chwilę żaden strażnik się nie poruszył. W ogóle nie zareagowali. Lecz później powoli, niepewnie jeden strażnik odsunął się w bok.

Cris odskoczył od Anity, wyminał oszłomionych strażników i przez utworzone w kordonie przejście błyskawicznie wybiegł na ulicę. Posypały się za nim wściekle wybuchy energii.

Tłocząc się i pokrzykując strażnicy rzucili się w pościg. Zapomniana Anita została sama. W mroku wczesnego poranka na ulicę wylewał się tłum uzbrojonych ludzi, a wśród nich robot-miotacz. Zawyły syreny. Ryknęły silniki ruszających wozów patrolowych.

Oszłamiana Anita oparła się o ścianę, z trudem chwytając powietrze.

Uciekł. Zostawił mnie. Mój Boże, co ja zrobiłam? - myślała. Nieprzytomnie kreciła głową,

ukrywając twarz w dłoniach. Zahipnotyzował ją. Odebrał jej wolę, zdrowy rozsadek. Rozum!

Zwierzę, oszukano ją wielkie złote zwierzę. Wykorzystało ją, a teraz go nie ma. Uciekło w mrok nocy.

Lzy żalu i bólu tryskały jej spomiędzy zacisniętych palców. Na próżno je ocierała; płynęły nieprzerwanym strumieniem.

- Uciekł - powiedział Baines. - Teraz to już go nigdy nie złapiemy. Prawdopodobnie jest o milion kilometrów stąd.

Anita siedziała skulona w kacie z twarzą odwróconą do ściany. Żalosa kupka nieszczęścia.

Wisdom nerwowo krzątał po pokoju.

- Ale dokąd on pójdzie? Gdzie się schowa? Nikt nie będzie chciał go ukryć! Przecież wszyscy znają ustawę o dewiantach!

- On prawie całe życie spędził w lesie. Będzie polował... zawsze to robił. Oni się zastanawiali, o co mu chodziło, kiedy samotnie się oddalał, a on chwytł zwierzęta i spał pod drzewami. - Baines

zasmiał się chrapliwie. - I pierwsza kobieta, jaka spotka, z rozkosza go ukryje... jak **ona**.
Wskazał na Anite kciukiem.

- Więc ten cały złoty kolor, ta grzywa, ta boska postawa, wszystko to miało jakiś cel. Nie było po prostu dla ozdoby. - Wisdom wykrzywił swoje grube wargi. - On dysponuje nie jedną zdolnością... lecz dwiema. Jedna jest nowa, najnowsza cecha, która służy przetrwaniu, a ta druga jest stara jak świat. - Zatrzymał się rzucając wściekle spojrzenia na skulony kształt w kacie. - Upierzenie. Barwne pióra, grzebienie u kogutów, labedzi, ptaków; kolorowe luski u ryb. Błyszczące futra i grzywy u zwierząt. Zwierze niekoniecznie musi wyglądać jak dzika bestia. Weźmy lwy. Albo tygrysy. Jakiegokolwiek przedstawiciela dużych kotów. Wszystko o nich można powiedzieć, ale nie to, że wyglądają jak dzikie bestie.

- Nigdy nie będzie musiał się martwić - rzekł Baines. - Poradzi sobie... dopóki istnieje choć jedna kobieta, która się nim zaopiekuje. A ponieważ widzi przyszłość, to dobrze wie, że żadna samica człowieka mu się nie oprze.

- Złapiemy go - mruknął Wisdom. - Kazalem rządowi ogłosić stan wyjątkowy. Żandarmeria i policja będą go szukały. Potężna armia ludzi... wszyscy specjaliści na Ziemi z najnowocześniejszą aparaturą i sprzętem. Wypłoszymy go prędzej czy później.

- Do tego czasu to już będzie bez różnicy - powiedział Baines. Ruchem pełnym ironii poklepał Anite po ramieniu. - Będziesz miała towarzystwo, kochanie. Nie będziesz jedyna. Jesteś pierwszą z długiej procesji.

- Dziękuję - warknęła Anita.

- Najstarszy i najnowszy sposób na przetrwanie. Ich połączenie daje idealnie przystosowane zwierze. Jak, u licha, uda nam się go powstrzymać? **Ciebie** możemy wysterylizować, ale nie potrafimy znaleźć tych wszystkich kobiet, które on spotka na swojej drodze. Wystarczy, że przeoczymy jedną i już po nas.

- Będziemy musieli próbować - rzekł Wisdom. - Postaramy się zgonić ich jak najwięcej, zanim zdąży coś z nim splodzić. - Na jego zmęczonej, zapadniętej twarzy pojawił się cień nadziei. - Być może jego cechy są recesywne i nasze je wypra.

- Nie dąlbym za to złamanego grosza - powiedział Baines. - Chyba już wiem, czyje cechy okazały się dominujące. - Uśmiechnął się krzywo. - Przypuszczam, że nie nasze.